

Mailem z Krotoszyna

Wszystko przez Hipokratesa



Francuzi mieli swoją BB i Polacy też mieli swoją BB. Oni tam, nad Sekwaną – Brigitte Bardot, a my tu, nad Wisłą – Bogumiłą Bobę. Kim była ta pierwsza, pisać nie muszę. A kto pamięta drugą?... Przypomnę: podczas kadencji rządu Hanny Suchockiej owa polska BB była tą właśnie posłanką Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, która swoje wystąpienie w każdej niemal dyskusji zaczynała od słów: „Ja jako lekarz”. Uporczywe przypominanie własnej profesji wszystkim rozmówcom polska BB uważała za szczególnie wskazane w roku 1993, podczas licznych i burzliwych dyskusji wokół tzw. ustawy antyaborcyjnej. Wstęp „Ja jako lekarz” miał zwiększać wagę argumentów, gdyż (w założeniach jego autorki) podkreślał dwie domniemane zalety prawicowej posłanki: mianowicie jej kompetencje zawodowe oraz wysoki poziom etyczny.

To pierwsze, niestety, zweryfikowała jedna z debat. W jej toku pani poseł „jako lekarz” oświadczyła swym adwersarzom, że nie tylko ma obowiązek opiekować się „nawet chorymi na AIDS”, ale na przykład w trakcie zabiegów operacyjnych ponosi również ryzyko zarażenia się... nowotworem. Natomiast wspomnianego drugiego przymiotu – tj. wysokiego poziomu etycznego – pani poseł nie zdążyła wysokiej izbie udowodnić, gdyż wcześniej została wykluczona z klubu poselskiego ZChN (zresztą za niesubordynację i brak dyscypliny partyjnej). W maju 1993 r. prezydent Wałęsa rozwiązał sejm i doktor BB odeszła w parlamentarny niebyt. Ale jej rozbijające zaklęcie „ja jako lekarz” chyba na długo pozostanie w annałach polskiego parlamentaryzmu (i nie tylko); może nawet stając się z czasem pewnym symbolem. Symbolem tego, że nawet my sami – my posiadacze dyplomów lekarskich – uważamy już tylko fakt bycia lekarzem za godzien (niejako automatycznie) ogólnego szacunku i zaufania. Nawet wtedy (jak udowadnia przykład doktor BB), gdy myślimy, że rak to choroba zakaźna... Skoro sami siebie szanujemy tylko za dyplom, oczywiście tym bardziej liczymy na odpowiednio wysoki prestiż naszej profesji w oczach społeczeństwa. Które przecież diagnozujemy, leczymy, rehabilitujemy, a nawet nierzadko oświecamy!

Takie oczekiwanie na szacunek innych ludzi, który wynikał z faktu wykonywania zawodu lekarza, przejawiała najwyraźniej także wspomniana doktor posłanka. Poniekąd miała obiektywne prawo tak sądzić, jeśli przestudiowała ówczesne dane statystyczne. Bowiem w „jej czasach” (przypomnę: przełom lat 80. i 90.) badania przeprowadzone przez Centrum Badania Opinii Społecznej wskazywały, że zawód lekarza cieszył się dużym prestiżem i zaufaniem wśród 82 proc. Polaków w 1987 r. i wśród 79 proc. w 1995 r. A trudno CBOS uważać za firmę stronnictwą, na przykład za propagandową agendę Naczelnej Izby Lekarskiej, raczkującej wówczas, młodziutkiej korporacji zawodowej...

Tyle że potem było już tylko gorzej. W 1996 r. poważanie dla zawodu lekarza deklarowało 77 proc. rodaków, a w 1999 r.

– 75 proc. A według danych CBOS sprzed czterech miesięcy, szacunek dla naszej profesji ma jedynie 73 proc. społeczeństwa. Co to oznacza? To, że gdyby dziś poseł doktor BB rozpoczęła sejmowe wystąpienie od słów „ja jako lekarz”, co czwarty słuchacz wzruszyłby po prostu ramionami: „Lekarz? I co z tego? Zawód jak każdy inny”.

Lecz dane CBOS ukazują jeszcze inny aspekt naszego miejsca w społecznej hierarchii. Otóż zajmujemy piątą lokatę, a wyprzedzają nas (wymieniam od miejsca pierwszego): profesor uniwersytetu, strażak, górnik i pielęgniarz. Tak, tak „biały personel średni” wysforował się w cuglach przed swoich ordynatorów, kierowników, dyrektorów i kolegów z dyżurów, dokonując potężnego skoku z 57 proc. w roku 1999 do 77 proc. w roku 2008. Dwadzieścia procent w niecałą dekadę! Nieźle! To właśnie dlatego ja, szeregowy lekarz, zamiast się cieszyć, że zostawiliśmy z tyłu niemal trzydzieści różnych innych profesji, w tym nauczycieli, oficerów zawodowych, prawników wszelkiej maści, policjantów, dziennikarzy, księży, nie wspominając nawet polityków różnego szczebla – zacząłem się zastanawiać nad tą czwórka, która wyprzedziła nas. Myślę: właściwie dlaczego tak się stało?

I doszedłem do zaskakującego – mnie samego – wniosku: wszystkiemu jest winna etyka zawodowa, wynikająca z przysięgi Hipokratesa! W wypadku lekarzy ma ona znaczny wpływ na to, jak odbiera nasze poczynania reszta społeczeństwa. Chodzi o to, że choć każdy ważny społecznie zawód ma jakiś własny kodeks etyczny, to jednak jedynie nasz kodeks etyki lekarskiej, krótko streszczony przez Hipokratesa w rocie przyrzeczenia, jest dziś znany tzw. szerokiemu ogółowi. Kto z państwa umie podać konkrety dotyczące kanonów postępowania profesora uniwersytetu; ba – kto umie przytoczyć choćby nazwę takich oficjalnych kanonów? Kto wie, według jakich zasad ma postępować górnik? I czy w ogóle takie zasady zostały kiedykolwiek, gdziekolwiek, przez kogokolwiek spisane?

Ale o tym, że każdy lekarz składa przysięgę Hipokratesa, wie w tym kraju nawet dziecko. Bo słucho o niej co rusz: w telewizji i od pani w szkole, od swoich przyjaciół i od kolegów swego wujka; od pana spod sklepu z piwem i od różańcowych koleżanek babci... Oraz, rzecz jasna, od mamy, z oburzeniem wykrzykującej przy kolacji do ojca: „I wyobraź sobie, było dopiero dziesięć po szóstej, a on mnie już nie chciał przyjąć! Powiedział, że pracuje do osiemnastej! I nie obchodzi go, że w markecie była długa kolejka do kasy! A przecież jego obowiązuje przysięga Hipokratesa!!!...”

W ten sposób wytwarza się dziwna (ba, dziwaczna!) sytuacja: oto te same wartości, za które Polacy szanują przedstawicieli innych zawodów, w naszym wypadku obracają się przeciw nam! No bo za co Polacy szanują profesora uniwersytetu? Za to, że jest mądry, czyta, publikuje, studiuje, prowadzi badania, uczy młodszych kolegów, jest autorytetem.

Maciej R. Hoffmann

Taki sam ma być dobry lekarz – ale on po prostu musi taki być. I już! Profesor chce – lekarz musi. Więc profesora Polacy za to wszystko szanują, a lekarza niekoniecznie, bo wszak stałe uczenie się to jego psi obowiązek. Przecież składał przysięgę Hipokratesa! Spójrzmy teraz na górników i strażaków. Ich ludzie szanują z kolei za ciężką pracę i za niebezpieczeństwa, na jakie są w jej trakcie narażeni. Lekarz co prawda też ciężko pracuje, np. operując przez kilka godzin w stanie najwyższego skupienia; lekarz też się naraża (na HIV, HCV i inne drobnoustroje; na pijanego pacjenta, na jego rozwścieczoną rodzinę; na niedouczonych dziennikarzy i na stronnicych prokuratorów). Ale górnik i strażak poświęcają się, on zaś po prostu musi. Więc co to za powód do chwały? Przecież lekarz składał przysięgę Hipokratesa! On ma powołanie – a górnik i strażak jedynie kombinezon, hełm oraz latarkę. Oni mają prawo do niezakłóconego wypoczynku, bo przecież się w pracy narobią. Lekarz natomiast w swym czasie teoretycznie wolnym nie może po godzinach odmówić sąsiadce wypisania „grzecznościowej” recepty na lek antykoncepcyjny, bo przysięga Hipokratesa jest wszak ważniejsza od wypoczynku.

No a pielęgniarki? Tu sytuacja jest nieco inna. Przedstawiciel CBOŚ, organizatora cytowanego rankingu, w komentarzu do wyników tego sondażu podkreśla, że uplasowanie się w rankingu zawodu pielęgniarki nad profesją lekarską może w dużej mierze wynikać z podświadomie udzielanej kompensaty za niskie zarobki siostr. Pielęgniarki pracę mają niewdzięczną, ale zarabiają mało – i ludzie to doceniają. Lekarze co prawda też nie dostają kokosowych pensji, ale przecież „lekarz zawsze może dorobić”! I nie jest ważne dla respondentów, że jest to praca dodatkowa, pochłaniająca czas wolny, oddalająca od rodziny, przyjaciół, kultury. Odpowiedź bywa jedna: „Ale przecież składaliście przysięgę Hipokratesa!”

Obawiam się, że im większy odsetek Polaków będzie zdawał sobie sprawę z istnienia przysięgi Hipokratesa i kodeksu etyki lekarskiej, tym trudniej będzie nam utrzymać wysoką lokatę w rankingach poważania, prestiżu i czego tam jeszcze. Szary Polak (nawet ten, który myśli o sobie jako o liberale!) jest tak naprawdę wychowany w romantyczno-abstrakcyjnym kulcie doktora Judyma. Postaci szlachetnej – ale ową szlachetnością niebezpieczną, karkołomną; szlachetnością dekadenta rynkowego. Wszyscy myślą, że Judym podniósł rangę naszego zawodu, a jest dokładnie na odwrót! To bowiem kult etyki doktora Judyma sprawił, że nawet dzisiaj – w rynkowych czasach wyrachowanego kultu pieniądza – bezinteresowne poczynania lekarzy bywają kwitowane wzruszeniem ramion: „Nie wziął po godzinach ani grosza za wizytę? No to co, przecież składał przysięgę Hipokratesa!”. Powyższe nie dotyczy innych grup zawodowych: niektóre z nich też mają kodeksy etyczne, ale społeczeństwo nie wie o istnieniu takich. Stąd nawet nie próbuje ich egzekwować.

Toteż o ile nie mam nic przeciwko Hipokratesowi i jego przyrzeczeniu, o tyle szlag mnie trafia, że buzię nim sobie wyciera cuchnący piwem byle chłystek bez zawodu, który ma życzenie akurat tu i teraz (czytaj: w moim prywatnym mieszkaniu po godz. 19.00) otrzymać zaświadczenie potrzebne mu do jakiegoś urzędu, choć ja właśnie mam czas teoretycznie

wolny i chcę odpytać córkę z fizyki przed jutrzejszą klasówką. Rozumiem: ja muszę znać kodeks etyki lekarskiej i muszę przestrzegać jego zasad. Ale dlaczego przysięga Hipokratesa wchodzi do obowiązkowego programu roszczeniowego wychowania wszystkich Polaków?!

Jest jeszcze jedno wyjście z tej stresogennej sytuacji, jaką niewątpliwie staje się analizowanie zmian pozycji naszego zawodu w przeróżnych rankingach. A mianowicie: totalne odpuszczenie. Można przecież w ogóle nie czytać tych zestawień, nie przejmować się nimi, nie analizować zmian. Można nawet myśleć, że rak jest zaraźliwy. A dla podtrzymania dobrego samopoczucia jedynie rzucić co jakiś czas w trakcie dyskusji: „Ja jako lekarz...”

Bo z ekstrapolacji cytowanych powyżej wyników widać statystyczną szansę, że dopiero za parę lat po takim wyznaniu zostaniemy pobici przez większość współmówców. I nawet nie będziemy mogli się wtedy bronić. Przecież złożyliśmy przysięgę Hipokratesa!